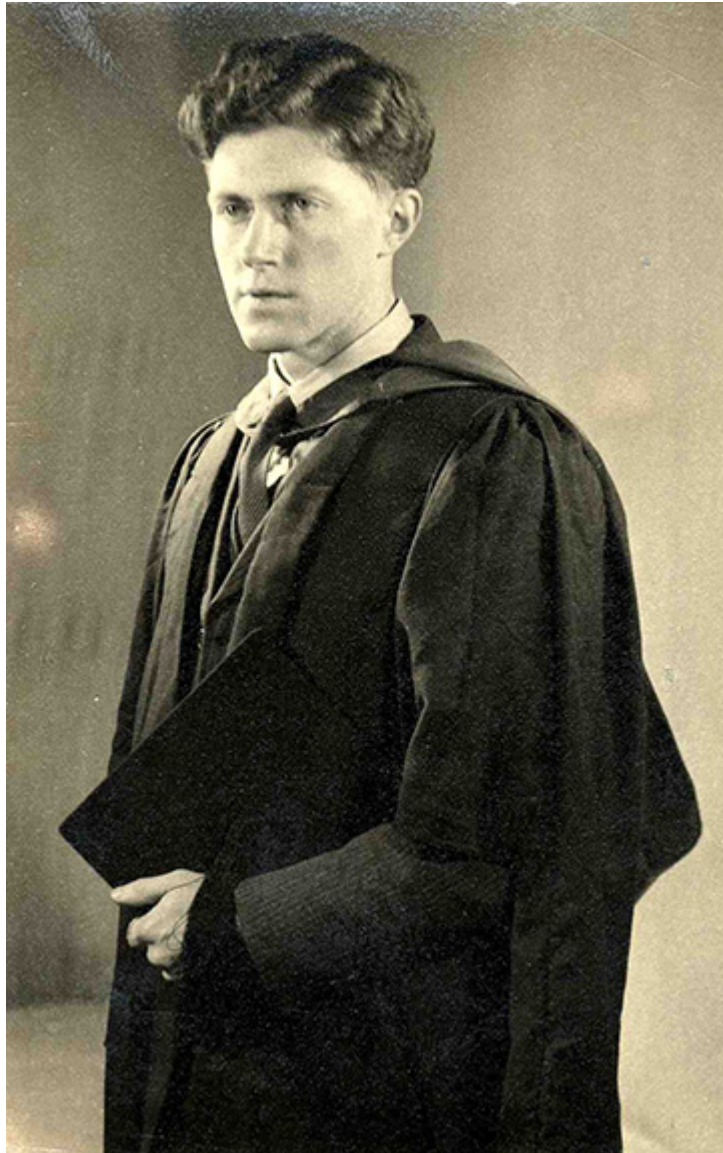


Ułamek istnienia. Bolesław Taborski (1927-2010).



Bolesław Taborski w todze, Uniwersytet w Bristolu, fot. arch. Anny Taborskiej

Bolesław Taborski

UŁAMEK ISTNIENIA

życie człowieka to nie tyle sen

co ta jego część kiedy się coś śni
jaki to drobny ułamek istnienia
w czarnej bezsennej nocy przedtem potem
a jak krótko śnią umarłe dzieci
takie to smutne – skrzydła anioła
ogromne – rozpostarte nad kruszynką
malutką która życia nie zaznała
i jaki sens w tym wszystkim – może da go
Bóg – na pewno nie ludzie którzy
bez sensu się snują tłoczą biegną
i zdaje im się że posiadają szczęście
jakże się mylą – śnią tylko przez chwilę
tyle tu stracić – czy tam będzie lepiej
nikt tego nie wie – czy tam będą łzy
by móc się wzruszyć jakąś piękną arią –
dowiesz się gdy zobaczysz że zapłakał Bóg

31.3.2000 r., z tomiku „Ułamek
istnienia” (2002).

[REDACTED]



Bolesław Taborski odbiera świadectwo maturalne w liceum polskim w Lubece, gdzie przebywał w obozie byłych jeńców wojennych, fot. arch. Anny Taborskiej

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Bolesław Taborski (drugi z lewej) z kolegami w Polskiej Sekcji Radia BBC, fot. arch. Anny Taborskiej

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Odszedł 6 grudnia 2010 roku.



Bolesław Taborski i Halina Taborska podczas rocznicy Powstania Warszawskiego,
fot. arch. Anny Taborskiej

Bilans?

piszę – podszepty szatana słyszę

anioł zbyt cicho ku sobie woła
co tu zyskałem? co tu straciłem?
jak się ten bilans w końcu ułoży
nie wiem i może się już nie dowiem
bo te przeżycia – sukcesy klęski
się nie sumują ale po sobie
zachodzą pędzą wleką znikają
a ja zostanę bezbronny nagi
czy wzniosę ręce do jasnej nocy?
czy je opuszczę do ciemnego dnia?
zostawię pustkę po sobie w sobie?
czy pełnię nigdzie? wie to księgowy
saldo dodatnie saldo ujemne
wyjdzie na jedno po spaleniu ksiąg
piszę – a diabeł łapy zaciera
ale nie wygra ze mną przechera
bo ja już pełzam w stronę anioła

1.7.2007 r.

■

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Najważniejsze jest współczucie

Historyk sztuki, filozof, pedagog – prof. dr hab. Halina Taborska

Dużo roboty z tym papieżem

Bob Dylan w przekładzie Adama Lizakowskiego

Cztery *protest songi* przeciwko amerykańskiej polityce



Piosenkarze folkowi Joan Baez i Bob Dylan występują podczas wiecu na rzecz praw obywatelskich, 28 sierpnia 1963 r. w Waszyngtonie, fot. Rowland Scherman, National Archive / Newsmakers, wikimedia commons

Z Bogiem po naszej stronie

With God on Our Side

Moje nazwisko - nic wam powie

Ile mam lat - nieważne

Miejsce z którego pochodzę

Zwą Środkowym Zachodem

Tam się uczyłem tam wychowałem

Praw przestrzegalem

A kraj w którym mieszkam

Ma Boga po swojej stronie.

*

Och, książki historii mówią

Pięknie to mówią

Kawaleria szarżowała

Indianie padli

Kawaleria szarżowała

Indianie umarli

Och, kraj dopiero się rodził

Z Bogiem po jego stronie.

*

Hiszpańsko-amerykańska

Wojna to były czasy

A także wojna domowa

Dawno zapomniana

A imiona bohaterów

Zapamiętywałem w mękach

Walczących z bronią w rękach

I z Bogiem po ich stronie.

*

Pierwsza wojna światowa, chłopcy

Była i się skończyła

Po co tam byliśmy

Za kogo walczyliśmy

Nie rozumiałem ale akceptowałem

Bohaterów nazwiska wkuwałem

O zabitych zapomniałem

Kiedy Bóg jest po twojej stronie.

Gdy druga wojna światowa

Się zakończyła

Przebaczyliśmy Niemcom

Byliśmy przyjaciółmi

Chociaż zamordowali sześć milionów

W piecach spalili

Niemcom wybaczali teraz oni też

Mają Boga po ich stronie.

Uczyłem się nienawidzić Rosjan

Przez całe swoje życie

Jeśli następna wojna wybuchnie

Z nimi musimy walczyć

Nienawidzić ich i się bać

Chować się i kryć

Dzielnie walczyć i żyć

Z Bogiem po naszej stronie.

Ale teraz mamy broń

Chemiczną

Jeśli nas zmuszą to wypalimy

Wypalimy im bo tak musimy

Jedno naciśnięcie guzika

I świat jak długi i szeroki znika

Bez żadnego zapytania

Kiedy Bóg jest po twojej stronie.

Przez wiele godzin niepewności

O tym rozmyślałem

Że Jezusa Chrystusa

Pocałunkiem zdradzono

Ale nie mogę myśleć za ciebie

Ty sam musisz zdecydować

Czy całujący Iskariota

Miał boga po swojej stronie.

Więc teraz, odchodzę

Jestem wykończony

Cały zbaraniały

Język tego nie wypowie

Brakuje słów w mojej głowie

Jestem niespokojny

Jeśli Bóg jest po naszej stronie

Nie dopuści do wojny.

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

Nadchodzi nowe wielkimi krokami

The Times They Are a-Changin'

Podejdźcie tu ludzie,

Dokądkolwiek zmierzacie

I przyznajcie, że potopu

Nadszedł już czas

Pogódźcie się z tym,

Nie było nas - był las, nie będzie nas - będzie las

A jeśli czas jest

Dla was coś wart,

Bierzcie nogi za pas

Bo pójdziecie na dno jak gład

Nadchodzi nowe wielkimi krokami.

Podejdźcie pisarze, krytycy

Prorokujący piórem swym

Szeroko otwórzcie oczy

Drugiej nie dostaniecie szansy

Trzymajcie zamknięty dziób

Fortuna wciąż kołem się toczy

Niczego sobie nie przywłaszczycie,

Bo ci co teraz przegrywają

W końcu jednak wygrają,

Nadchodzi nowe wielkimi krokami.

*

Zbliźcie się senatorowie, kongresmani

Proszę wbijcie sobie to głów

Nie wkładajcie swych nóg,

Pomiędzy drzwi a futrynę,

Kto wiatr sieje

Te zbiera burzę

Bitwa już go nie dotyczy

To jest szaleństwo.

Wkrótce zadrżą ściany wypadną

Okna z szybami i ramami

Nadchodzi nowe wielkimi krokami.

*

Podejdźcie matki i ojcowie

Gdziekolwiek jesteście

I nie krytykujcie tego

Co nie mieści się wam w głowie

Wasze córki i synowie

Nie posłuchają się waszych rozkazów

Waszego myślenia

Nadszedł już czas

Zróbcie drogę dla nowego pokolenia

To was przerasta, usuńcie się z drogi, basta.

Nadchodzi nowe wielkimi krokami

Linia, została wytoczona

Kłątwa, rzucona

Dzisiaj powolny

Jutro rozpędzony

Dzisiaj teraźniejszość

Jutro przeszłość

Stare rozporządzenia więdną jak kwiat

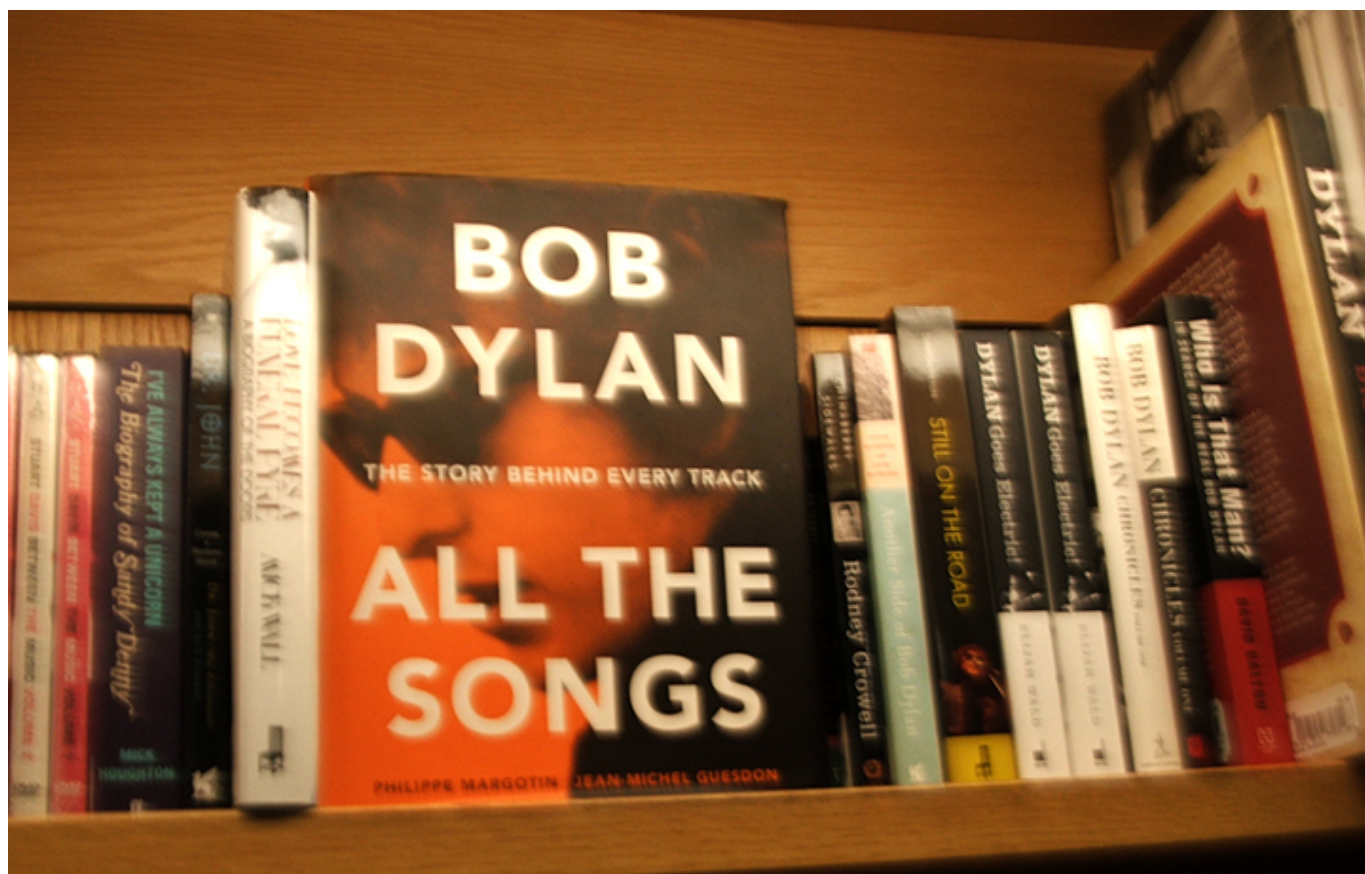
Pierwsi dzisiaj

Będą jutro ostatnimi, tak zmienia się świat

Nadchodzi nowe wielkimi krokami.



Pomyślałem: „Wow, jak mogę rozpocząć w ten sposób? Będą rzucać we mnie kamieniami”. Ale musiałem to zaśpiewać, cały mój koncert rozpoczął się od tego utworu. Wiem, że niczego nie rozumiałem. Coś stało się niesamowitego w kraju, a publiczność klaskała. I nie mogłem zrozumieć, dlaczego klaskali, ani dlaczego napisałem tę balladę. Nic nie rozumiałem. Dla mnie to było po prostu szaleństwo.



Północny blues

North Country Blues

Podejdźcie bliżej przyjaciele

Posłuchajcie tego co opowiem wam

O kopalniach których było wiele

O oknach zabitych gwoździami, tekturami

O mężczyznach wysiadujących ławkami

Opowiem o mieście co straszy pustkami.

*

Na północnym krańcu miasta,

Moich dzieci dorastała gromadka,

Ja wychowałam się po jego drugiej stronie.

We wczesnych mej młodości,

Pochowałam mamy kości,

Brat do siebie mnie wziął.

*

Ruda żelaza się łała,

Lata mijały

Pracy było po łokcie, po pachy,

Aż pewnego dnia mój brat

Nie wrócił do domu z pracy

Spotkała go ta śmierć co taty.

*

Cóż, zima strasznie mi się dłużyła,

Okno było całym mym światem

Miałam miłych przyjaciół, dotrwałam

Do wiosny, poczułam nowy wiatr

Szkoła, nauka mi się znudziła

Górnika Johna Thomasa poślubiłam.

*

Och, tak mijały mi lata,

I dobrze się nam działo,

Było co jeść, było co pić, chciało się żyć.

Na świat przyszły trzy dzieciaki,

Aż pewnego dnia skończyła się robota,

John pracował pół dniówki, zaczęły się głodówki

Wkrótce szyb kopalni zamknęli,

Więcej już pracy nie mieli,

Ogień w powietrzu, zamarzł.

Wtedy przychodzi taki jeden chłopina

I mówi roboty już ni ma

Jedenasty szyb już znikł.

*

Na Wschodzie narzekali,

Że za dużo płacą,*

Mówili kopalnia nie jest warta grosika,

Że można taniej mieć górniką

Że w miastach Południowej Ameryki

Pracują prawie za darmo górnik.

*

Więc bramy górnicze zostały zamknięte,

Żelazo pokryła czerwona rdza

Mieszkanie pachnie wodą, mąż chł.

Gdzie smutna, cicha piosenka

Uczyli godzinę dwukrotnie dłuższą

A zachód słońca to jedyna radość ma.

*

Wyglądałam przez okno dniami

Gdy on mamrotał pod nosem

Bez słowa pogodziłam się z losem

Aż pewnego ranka

W łóżku nie było kochanka

Zostałam sama z trzema dzieciakami.

*

Lato już się skończyło,

Ziemię skuł mróz

Sklep po sklepie zamyka się już

Moje dzieci pójdą w świat

Jak skończą osiemnaście lat

Cóż, tutaj nie ma nic do roboty, tylko kłopoty.

I

Objaśnienia

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED].

Porozmawiajmy o Johnie Birch Paranoidalnym Bluesie

Talkin' John Birch Paranoid Blues

Cóż, czułem się smutny, czułem się przygnieciony,

Za nic w świecie nie wiedziałem co mam zrobić.

Komuniści byli wszędzie z każdej strony

W powietrzu,

Na ziemi,

W każdym miejscu i urzędzie, oszalałem.

Więc pobiegłem do nich co w nogach sił

I wstąpiłem do partii Johna Birchrema.

Dali mi tajną legitymację

Odnalazłem swoją drogę teraz będę żył.

Juhu!!!, Juhu!!! jestem prawdziwym Johnem Birchremem!

Strzeżcie się komuchy!

Obecnie wszyscy się zgadzamy się z poglądami Hitlera,

Chociaż zabił sześć milionów Żydów.

Nie ma znaczenia, że był faszystą.

Przynajmniej nie można powiedzieć, że był komunistą!

Mówią; kowal zawinił Cygana powiesili.

No cóż, szukam wszędzie, tych przeklętych czerwonych.

Wstałem rano patrzyłem pod łóżko,

Spojrzałem do zlewu, za drzwi,

Spojrzałem w schowku w samochodzie.

Nie mogłem ich znaleźć. . .

Patrzyłem w górę, patrzyłem w dół wszędzie szukałem czerwonych,

Patrzyłem pod umywalką, pod krzesłem

Spojrzałem w górę do dziury komina,

Spojrzałem nawet głęboko w moją muszlę klozetową.

Uciekli. . .

Cóż, siedziałem w domu, były ze mnie siódme poty.

Znalazłem ich w swoim telewizorze

Zerknąłem za obraz w monitorze

Doznałem szoku od stóp do głowy.

Czerwoni to spowodowali!

Wiem, to ich wina... . . twardogłowych.

*

Cóż, rzuciłem pracę w grupie, aby pracować sam,

Zmieniłem nazwisko na Sherlock Holmes.

Z mojej torby detektywa co chwilę coś się wydobywa,

Odkryłem, czerwone paski na amerykańskiej fladze!

Tak, to robota Bety Ross. . .

*

Przejrzałem wszystkie książki w bibliotece,

Dziewięćdziesiąt procent z nich to będzie popiół .

Sprawdziłem wszystkich znanych mi ludzi,

Dziewięćdziesiąt osiem procent z nich musi odejść.

Pozostałe dwa procent to członkowie Birchery. . . tak jak ja.

*

Teraz Eisenhower, jest rosyjskim szpiegiem,

Lincoln, Jefferson i ten Roosevelt gość.

Według mnie jest tylko jeden człowiek,

To naprawdę prawdziwy Amerykanin: George Lincoln Rockwell.

Wiem, że nie znosi komuchów, ponieważ pikietował film „Exodus”.

*

W końcu doszedłem do wniosku

Gdy zabrakło rzeczy do śledzenia.

Nie mogłem sobie wyobrazić nic lepszego

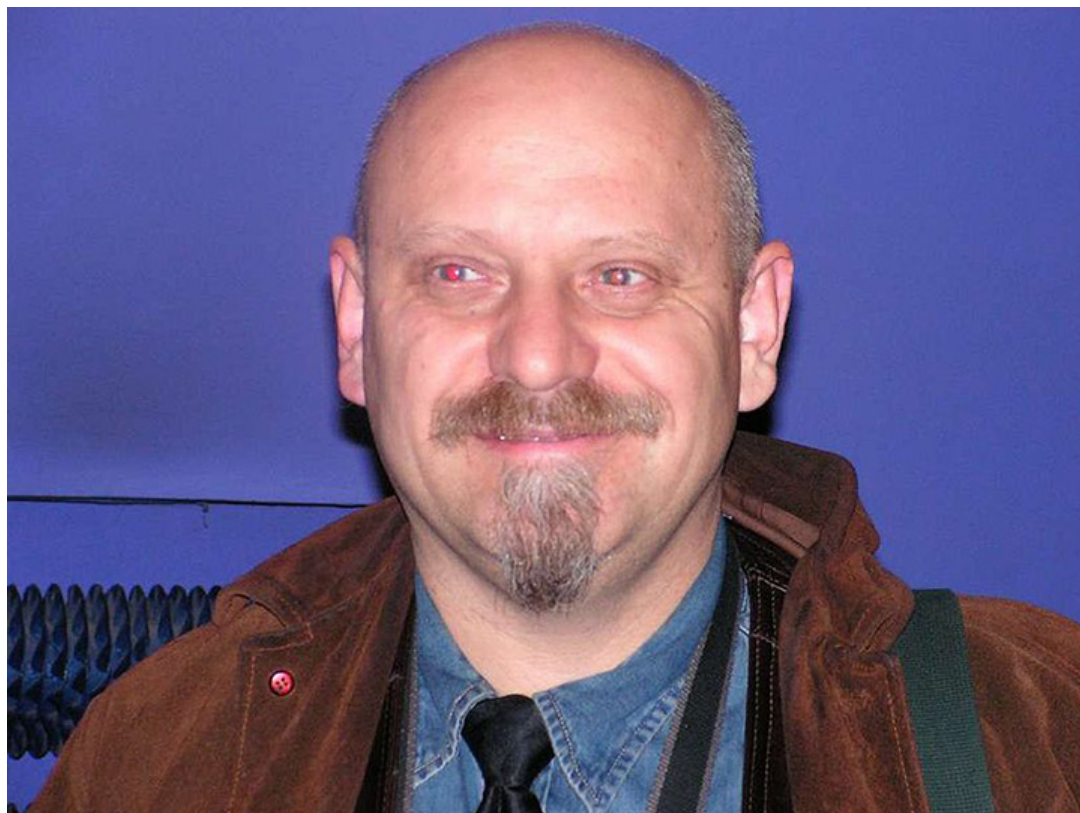
Niż siedzeniu w domu i analizowanie siebie samego!

Mam nadzieję, że niczego się nie doszukam, hm, wielkie Boże!

„Talkin’ John Birch Paranoid Blues”, to satyryczny *protest song* (ballada bluesowa) napisany przez Boba Dylana w 1962 roku, w której paranoiczny narrator jest przekonany, że komuniści lub „czerwoni”, jak ich nazywa, infiltrują kraj. Dołącza do antykomunistycznej grupy *John Birch Society* i wszędzie zaczyna szukać Czerwonych. Narrator potępia Betsy Ross, (twórczyni amerykańskiej flagi) jako komunistkę i czterech prezydentów USA jako rosyjskich szpiegów. Sympatyzuje z Adolfem Hitlerem i George’em Lincolnem Rockwellem, bo ci chociaż faszyści, to nie komuniści. Po wyczerpaniu możliwości śledzenia wszystkich i każdego, po znalezieniu wszystkich komunistów, narrator utworu zaczyna badać siebie.

Świdnica, maj 2021 r.

■



Adam Lizakowski, poeta, tłumacz, fot. wikimedia commons

114

- [REDACTED]
- [REDACTED]
- [REDACTED]
- [REDACTED]
- [REDACTED]

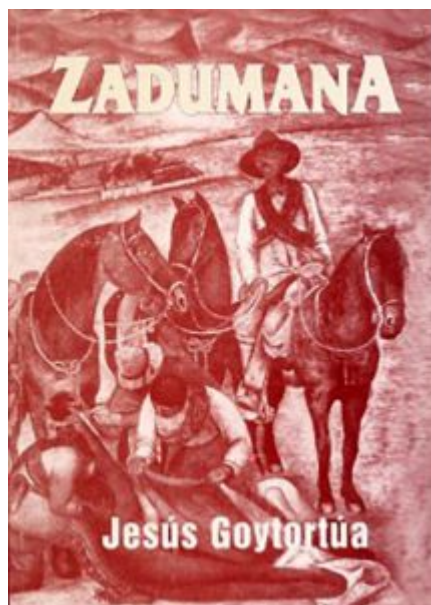
Wojna i kwiat pomarańczy



Maria Piotrowska

Chociaż Meksykanin Jesus Goytortua nie jest pisarzem, który dorównywałby klasą latynoamerykańskim pisarzom tej miary co Julio Cortazar, czy Gabriel Garcia Marquez, to jego proza tradycyjna i bezpretensjonalna, z tym większą siłą opanowuje wyobraźnię czytelnika wciągając go w świat pasjonujących zdarzeń, niezłomnych charakterów, pierwotnej przyrody, graniczących sytuacji moralnych i najczystszej liryki. Egzotyka tego świata, jego swoistość, narzucić się musi ze szczególną ostrością czytelnikowi polskiemu, który otrzymał polski przekład napisanej przed pięćdziesięciu laty książki Goytortui „Pensativa”. Jej kanwą jest burzliwy okres historii Meksyku: lata dwudzieste i trzydzieste dwudziestego wieku, gdy toczyła się krwawa wojna domowa między wyznawcami wiary katolickiej (cristeros), a wojskami rządu broniącego zapisów konstytucji z roku 1917, które godziły w duchowieństwo i Kościół. Dwoje protagonistów powieści-tytułowa „Zadumana” Gabriela Infante oraz młody prawnik-ziemianin Roberto, są upostaciowaniem wyzwolonych przez bratobójczą wojnę obcych sobie sił, które z bezwzględną koniecznością determinują ich los. Miłość Roberta do Gabrieli Infante wybuchnąć musiała: bohaterka jest piękna i otoczona famą cnoty i prawością uroku. Głębi dodaje jej osobista tragedia, męczeńska śmierć brata, przywódcy cristeros, tajemniczość, w jakiej się pogrąża żyjąc wśród wiernych ex-powstańców na zrujnowanej hacjendzie, resztkę świetności rodzinnej, wreszcie niejasny, ukrywany przez otoczenie udział w wojennych

wypadkach. Ale oto bieg wydarzeń aktualnych oraz ukazanych w retrospekcji, odsłania przed Robertem całą prawdę o „Zadumanej”: Gabriela Infante okazuje się słynną Panią General, podobnie jak jej brat, nieustraszoną przywódczynią cristeros, zdolną do wyrachowanej mściwości i w imię praw wojny akceptuje okrucieństwo głucho na błagania o litość. Na stronę wydarzeń wkraczają upiory krwawej przeszłości. Przerazenie i odraza Roberta (to kobieta ociekająca krwią) biorą górę nad miłością: ceremonia ślubna, do której oblubienica przystroiła już głowę pomarańczowym kwieciami, zostaje odwołana: bohater, człowiek słabego ducha, ściąga na siebie nienawiść zawziętych ex-cristeros. Następuje katastrofa. Życiowo przegrywają oboje: ona chroni się za klasztorną kratą, on wraca do dawnego „sztucznego” życia w Mexico City, skazany na mękę wspomnień i niewczesny żal. Moralnie zdaje się wygrywać Gabriela Infante dzieląca z innymi cristeros przekonanie, że obrona wiary jest obowiązkiem dającym prawo do przelewu krwi i okrucieństw (miecz świętego gniewu jest błogosławiony), ale jeżeli się z tych zmagania wyszło się cało, cierpienia zadane współbraciom okupić trzeba ascezą. W ten sposób życie realizowane staje się legitymacją poglądów. Natomiast pogląd Roberta, że bratobójcza wojna jest tragicznym błędem, a okrucieństwa nie da się niczym uzasadnić – znajduje swoje usprawiedliwienie tylko w jego osobistej wrażliwości.



Czytelnik świadomy stylu jego wcześniejszego życia w Mexico gotów jest nawet zadać sobie pytanie: a może to tylko słabe nerwy i czy można żądać od historii powszechnej, by respektowała nakazy Ewangelii? Ale bohater powieści Goytortui

cierpi i wśród tych cierpień kocha nadal, a z tego cierpienia, z tych uczuć i tej wrażliwości autora niewątpliwie się utożsamia. Narracja w pierwszej osobie ma charakter personalny, wyrasta powieść, danie świadectwa i wywyższenie heroizmu. Spisane przez Roberta wyznania ratują powstańcze cnoty przed zapomnieniem. Ostatecznie w obliczu ryzyka ran i śmierci tylko twórcze zmagania i ich rezultat: opowieść-swiadectwo, okazują się legitymacją potępienia walk w imię osobistej wrażliwości – tylko one.

W Posłowniu autor polskiego przekładu, Florian Śmieja, włączył powieść Goytortui do nurtu literatury popularnej. Taka w istocie jest ta powieść, gdyż z odmową eksperymentowania łączy się pewna szkicowość, a niekiedy nawet zdawkowość dialogów, a także prostota monologu wewnętrznego, który dopiero pod koniec pogłębia się i indywidualizuje. Jest jednak w tej książce obecna pewna stała wartość, bez której nie byłaby ona sobą i gdzie Goytortua okazuje się prawdziwym „małym mistrzem”: jest to niezrównana sugestywność świata przedstawionego. Są to wnętrza mieszkalne, ledwie zarysowane, gdzie nie tyle piękno, co charakter przedmiotów zapada w pamięć:

pogrążone są one w przeróżnych odmianach światła, w przedziwnej symbiozie z rozpościerającą się tuż za progiem naturą, która żyje, mieni się niuansami barw i światłocieni, przemawia różnorodnymi głosami i szeptami. Rzadko przybierając kształty oswojone. Jest ona z reguły dzika i zmusza wędrowców do poświęcania jej więcej uwagi: o zmierzchu ulewa czyni bowiem krajobraz niewidocznym i jeźdźcy zdawać się muszą na instynkt koni, za to następnego ranka zieleń staje się intensywniejsza, ziemia dymi w żółtawym słońcu, a najmniejszy podmuch wiatru przynosi deszcz szeleszczący w gałęziach. W zakamarkach skał wody rzeki huczą i szemrzą, ich kolor zmienia się wraz z ruchem obłoków na niebie, a poprzez gałęzie, od którymi zbiera się ciemność, widać góry, gdy nie giną one za woalami mżawki, wydają się pełne gróźb, nieprzyjazne, wiodące utajone gwałtowne życie, i nic dziwnego, że miejsce, gdzie dokonały się zdrada i zbrodnia, tchnie pustką i grozą. Kojoty i węże pierzchają przed zabłąkanym przybyszem a zawodzący wiatr miota zaroślami zrywając leśne kwiaty.

Niektóre zwroty ostatniego akapitu, a ściślej, jego końcowego fragmentu, czerpię in

crudo i na wyrywki z tekstu powieści, gdyż tylko w ten sposób mogę czytelnikowi zaanonsować piękno polskiego przekładu Florian Śmieji. Ta polska proza płynie nurtem silnym i pewnym, choć niekiedy pełnym skrywanego niepokoju, który jest zapowiedzią nadciągających zdarzeń. Jej bogactwo leksykalne i jakość językowych formuł wyczarowują ową niepowtarzalną rodzajowość w opisie ludzkich siedzib i niczyjego, posępnego krajobrazu. Rodzajowość egzotyczną tam, gdzie do otoczonych krużgankami patios prowadzą eukaliptusowe aleje, zaś bliską i stale taką samą, wtedy gdy wzrok pada na wyściełane krzeselko przy oknie, ręka podaje chorej szklankę mleka, a przed dom wybiega z latarnią chłopiec, by wskazać podróżnym ścieżkę prowadzącą do drzwi.

Jesus Goytortua: Zadumana (Pensativa). Z języka hiszpańskiego przełożył i posłowiem opatrzył Florian Śmieja. Wydawnictwo Wacław Bagiński, Wrocław 1997.

Powieść Ewy Stachniak „Konieczne kłamstwa” po polsku

Rozmowy o książkach, które nie przemijają.

„Konieczne kłamstwa” (*Necessary Lies*) to powieść o stracie osobistej i narodowej, o zdradzie i potrzebie przebaczenia, o najnowszej historii – wojennej i powojennej. Powieść o powrotach do korzeni, trudnych i bolesnych – ale koniecznych, jeśli przeszłość ma nie być tylko niepotrzebnym balastem, lecz stać się kluczem do poznania i zrozumienia nas samych. Jest to historia Wrocławia, miasta z niemiecką przeszłością i polską teraźniejszością oraz historia emigrantki znad Odry, która musi się zmierzyć ze skomplikowaną przeszłością swojego miasta. To pierwsza powieść Ewy Stachniak, uznana za najlepszy debiut powieściowy Kanady roku 2000: nagroda Amazon.com/Books in Canada First Novel Award. Autorka pisze po angielsku, dzięki

czemu jej niezwykle poczytne książki opowiadające polską historię z różnych epok, szeroko docierają do angielskojęzycznego czytelnika.

Na podstawie: www.ewastachniak.com



Ewa Stachniak, fot. ewastachniak.com

Rozmowa z pisarką Ewą Stachniak i tłumaczką Katarzyną Bogucką-Krenz.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Polski czytelnik może już przeczytać po polsku powieść „Konieczne kłamstwa” nagrodzoną w 2000 roku przez Amazon.com/Books in Canada. Co to dla pani oznacza?

Ewa Stachniak:

Cieszę się, że książka ukazała się w Polsce i bardzo jestem ciekawa reakcji czytelników, recenzji, uwag. W powieści pisanej z pozycji emigracji, polski czytelnik zwróci uwagę na inne rzeczy niż czytelnik kanadyjski. „Konieczne kłamstwa” – na jednym z poziomów narracji – są przecież zapisem wrażeń powrotu do kraju, po latach emigracji, tego pierwszego powrotu, pierwszych wrażeń wędrowca, który konfrontuje zapamiętane obrazy z rzeczywistością, wędrowca, który patrzy na Polskę

z pozycji swoich kanadyjskich, emigracyjnych doświadczeń. Czytelnik polski zobaczy bohaterkę powieści, Annę Nowicką, podobnie jak nasze rodziny i przyjaciele widzieli nas w tych pierwszych latach wolności, emigrantów przyjeżdżających po latach do rodzinnego domu.

Ciekawi mnie też jak wypadnie konfrontacja mojej książki z innymi współczesnymi polskimi powieściami, czy literatura kanadyjska wpłynęła w zauważalnym stopniu na mój sposób pisanie. Bo przecież język prowokuje różne skojarzenia.

Na czym polega odmienność polskiej wersji powieści w stosunku do angielskiego oryginału?

ES: W angielskiej wersji książka skierowana była do czytelnika, który o Polsce i jej historii ma mgliste pojęcie i któremu trzeba wpływ tej historii na polską rzeczywistość przybliżyć. Patrząc na Warszawę czy Wrocław w 1991 roku Anna widzi nie tylko teraźniejszość, ale także przeszłość tych miast, lata wojny, powstania, zgliszcza. We Wrocławiu widzi ślady niemieckiego Breslau, pamięta morze gruzów. Z takim bagażem jej spojrzenie na polskie realia jest zupełnie inne niż kogoś, kto o tej historii nie ma pojęcia. Zmiana perspektywy oznaczała cięcia i przekształcenia w tekście. Wiele fragmentów można było w polskim tekście pominąć, inne trzeba było przeredagować lub wręcz dopisać, by zachować autentyzm szczegółów i wiarygodność faktów. Kiedy cytuję fragment wrocławskiej ulotki z 1968 roku, którą Anna i Piotr trzymają w ręku, to chcę żeby to była jedna z autentycznych ulotek z Wrocławia, a nie np. z Warszawy. Angielskie słowo „communist” tłumaczy się inaczej w zależności do okresu historycznego w którym było użyte: w 1968 roku Piotr mówi o „partyjnych”, w 1881 roku Anna pamięta „komunistów”, a w 1991 roku jej brat używa słowa „komuch”. W wersji angielskiej rewolucję w Quebecu można było określić jednym zdaniem, polskiemu czytelnikowi trzeba było dodać kilka wyjaśnień. To były drobiazgi, choć oczywiście bardzo ważne. Problemem największym, ale i jednocześnie najbardziej ciekawym, stało się nadanie polskich głosów moim bohaterom.

Powieść rozpoczyna się w Montrealu, ale już po kilku zdaniach Anna wspomina swoją młodość, swój wyjazd z Wrocławia, pierwszą miłość – swoje polskie przeżycia. Kiedy pisałam te sceny po angielsku, polskie postacie musiały mówić językiem

„opisowo-universalnym”, stworzonym dla nich w takim celu by czytelnik kanadyjski odczuł, że osoba, o której czyta, funkcjonuje w innym języku – czasami wtrącałam polskie słowa, by zachować koloryt głosów. W tłumaczeniu na język polski te zabiegi lingwistyczne straciły sens.

W budowaniu pełnych, polskich głosów najłatwiej było z postaciami, które w jakimś stopniu opierały się na wspomnieniach z przeszłości. „Słyszałam” jeszcze te głosy i mogłam zasugerować tłumaczce wybór konkretnych wyrażen. Babcia Anny mówi językiem mojej babci, którego specyficzne wyrażenia towarzyszą mi od dzieciństwa. Wprawdzie babcia Anny i moja babcia to dwie różne osoby, ale ich język to głos tego samego pokolenia. Także rodzicom Anny mogłam częściowo użyczyć języka pokolenia moich rodziców.

Najwięcej kłopotu sprawił mi Piotr, pierwszy mąż Anny. W moim polskim kręgu doświadczeń nie pojawiła się postać z jego rodowodem, nie mogłam więc czerpać z pamięci. Piotr Nowicki pochodzi z Krakowa, jest prawnikiem, brał udział w marcowych wydarzeniach 1968 roku we Wrocławiu, trzeba było mu stworzyć język, który charakteryzowałby i jego i jego pokolenie. To było moje zadanie, nie mogłam go zrzucić na barki tłumaczki, nie mogłam powiedzieć – wymyśl głos dla Piotra. W rezultacie musiałam sceny z Piotrem prawie w całości przepisać, stworzyć na nowo jego polski głos opierając się na autentycznych historycznych materiałach z tego okresu, studenckich ulotkach, opisach marcowych wydarzeń we Wrocławiu. To była fascynująca przygoda językowa, w pełni spełniona w chwili gdy „usłyszałam” ten nowy głos Piotra.

Jak współpracowało się pani z tłumaczką?

ES: Doskonale. Przypuszczam, że tłumaczom rzadko zdarza się pracować z autorem, który zna język na tyle, by móc brać udział w procesie redakcji tekstu w takim stopniu, jak to było z nami. Z Katarzyną Bogucką-Krenz, tłumaczką powieści, zgodziłyśmy się już na samym początku pracy, że naszym celem będzie nie tylko wierne oddanie tekstu, ale stworzenie takiego tłumaczenia, które byłoby „moim,” czyli najbardziej zbliżonym do polskiej wersji tej książki, jeśli miałabym taką napisać. Dla tłumaczki oznaczało to rezygnację, oczywiście tylko do pewnego stopnia, z autonomii, konieczność sprawdzania czy nasze językowe odczucia zgadzają się, i

stałą gotowość do dyskusji nad tymi fragmentami, w których nasze odczucia gdzieś się rozmięły. Czasami dostawałam stronę, na której tłumaczone fragmenty tekstu pojawiały się w kilku wersjach, a ja miałam wybrać te najbardziej mi odpowiadające. W rezultacie każdy rozdział wędrował kilka razy między nami tak długo, aż obie byłyśmy zadowolone.

Praca nad tłumaczeniem była dla mnie bardzo ciekawa. Zdałam sobie ponownie sprawę z trudności, jakie napotyka polski tłumacz z języka angielskiego. Jedną z nich jest rytm zdania, jego wewnętrzna poezja. I tak na przykład rytmiczność w języku angielskim można uzyskać stosując powtórzenia słów, sylab, czy wręcz poszczególnych dźwięków. Przykładem może tu być to oto zdanie z pierwszej części mojej książki, opis powojennego Wrocławia: *A sea of ruins, surrounding small islands of still-standing buildings*, którego rytm opiera się na aliteracji. Podobny zabieg w języku polskim może przynieść taki „efekt poetycki” jak zdanie: *polska policja poszukuje pięciu panów...* Tekst poetycki, który po angielsku brzmi rytmicznie i naturalnie, w polskim bezpośrednim tłumaczeniu po prostu kuleje. Powodów może być wiele. Tradycyjna, staroangielska poezja oparta była właśnie na aliteracji, czyli powtórzeniu dźwięków; w polskiej poezji natomiast spoiwem był głównie rym. W rezultacie, aby uzyskać podobny efekt poetycki, który ja w wersji angielskiej uzyskiwałam poprzez powtórzenia, Kasia Krenz musiała uzyskać zupełnie innymi metodami, czerpiąc ze swoich zasobów poetyckich.

Jak pani poznała tłumaczkę, Katarzynę Bogucką-Krenz?

ES: Przez jej siostrę, Ewę Ślaskę, polską pisarkę i tłumaczkę, która od wielu lat mieszka w Berlinie i aktywnie działa na pograniczu literatury polsko-niemieckiej, organizuje warsztaty literackie, prowadzi pismo „Wir” itd.. Podczas jednego z pobytów w Berlinie, gdzie zbierałam materiały do mojej drugiej powieści, poznałam Ewę. Ona z kolei podarowała egzemplarz *Necessary Lies* swojej siostrze Katarzynie mieszkającej w Gdańsku. Katarzyna Bogucka-Krenz, jest nie tylko tłumaczką z języka angielskiego, jest też poetką i malarką. Poza tym jesteśmy w podobnym wieku, więc łączy nas język naszego pokolenia...



Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, 2004.

Co pani myśli na temat okładki polskiej wersji powieści?

ES: Bardzo mi się podoba. Jest graficznie prosta, ale bogata w znaczenia. Pocięte nożyczkami nuty sugerują Wiliama i linię melodyczną jego partytur, a także przerwane wątki życia wielu bohaterów książki, cięcie między nowym życiem i starym życiem, między Polską i Kanadą itd. Mogą także sugerować przecięcie spokoju i błogich wspomnień bohaterki, Anny Nowickiej, o człowieku, który krył w sobie tak bolesne dla niej tajemnice.

Ale książka już skończona, wydana. Teraz werdykt należy tylko i wyłącznie do czytelnika.



Katarzyna Bogucka-Krenz

Czym jest dla pani przekład literacki?

Katarzyna Bogucka-Krenz:

Przez lata wypracowałam sobie własną metodę przekładu, która opiera się na przekonaniu, że sama wiedza nie wystarczy do tego, żeby zostać dobrym tłumaczem literatury. Oczywiście, trzeba mieć warsztat, tj. dobrą znajomość języka obcego oraz spore umiejętności posługiwania się mową ojczystą. Pod tym względem jest to praca niejako „usługowa”. Ale do dobrego tłumaczenia potrzeba jeszcze dwóch rzeczy. Po pierwsze, swego rodzaju pozawerbalnego wyczucia, zdolności niemal telepatycznego porozumienia się z autorem. Będąc przekąźnikiem nie swojej myśli, tłumacz spełnia rolę medium, jest pośrednikiem, który pomaga autorowi zaistnieć w innym języku,

sam przez cały czas, jak sufler w teatrze, pozostając w cieniu.

Po drugie, tłumacz lepiej rozumie swoje zadanie, jeśli sam jest pisarzem czy, jak w moim przypadku, poetą. Każdą historię można opowiedzieć na sto sposobów. Tłumacz musi sobie nieustannie zadawać pytanie, nie jak on by ją opowiedział, tylko jak zrobiłby to autor, gdyby znał jego język. Które słowo by wybrał? A przecież autor chce ode mnie nie tylko moich słów. On liczy na to, że w moim języku odtworzę i odwzoruję cały jego świat, wyłowię jego ducha, oddam to „coś”, co często jest trudne do uchwycenia – aurę, emocję, nastrój.

Czasem żartuję, że najlepszą metodą jest tłumaczenie „z zamkniętymi oczami”, gdyż dopiero wówczas potrafię wsłuchać się w głos wewnętrzny tłumaczonego pisarza, oddać to wszystko, co decyduje o jego stylu i sile.

Proszę opowiedzieć o pracy nad tłumaczeniem?

KBK: Do pracy podchodzę zawsze bardzo osobiście i że tak powiem namacalnie: na kilka miesięcy wyprowadzam się z własnego świata i przenoszę do innego. To trochę jak gra w filmie. Jestem ze wszystkimi bohaterami naraz i każdym z osobna. Początkowo nic jeszcze na to nie wskazuje, po prostu tłumaczę słowo za słowem, zdanie po zdaniu. Ciężka, żmudna, czasochłonna praca. Nie zastanawiam się, pędzę przed siebie, mijam kolejne stronice, jakbym jechała pociągiem, przyglądając się przez okno mijanym obrazom. Na tym etapie jeszcze nie podejmuję decyzji, nie dokonuję wyborów, nawet nie słyszę właściwego tonu. Zostawiam znaki zapytania, zapisuję po kilka wersji, wiem, że na decyzje będzie czas później. Nim jednak to nastąpi, przechodzi czas prób i przymiarek, kiedy wciąż nie do końca jestem pewna, w jaki sposób ja bym się wyraziła w danej sytuacji, gdybym była, na przykład, profesorem literatury, skrzypaczką, rybakiem dalekomorskim czy kelnerką w restauracji, a ściślej: jakbym to wyraziła po polsku, zważywszy na czas i miejsce, wiek, wiedzę i filozofię życiową danej postaci, i co najważniejsze – styl autora. A potem pewnego dnia okazuje się, że wszystkie elementy układanki wskoczyły na swoje miejsce. I kiedy czytając przestaję myśleć o słowach, a zaczynam „słyszeć głosy”, wtedy wiem, że to już – mogę tekst odesłać do wydawcy.

Czy tłumacz musi się łączyć z bohaterami, poznać ich osobowość i odczucia, żeby oddać ducha czasu i miejsca, w którym żyli?

KBK: Chyba nie da się inaczej. Ja w każdym razie nieodmiennie przywiązuję się do moich autorów i ich książek. W końcu przebywam z nimi codziennie po wiele godzin, i to przez długie miesiące. Staję się jakby matką zastępczą, która musi wybrać dla nich odpowiednie słowa, i jeszcze zrobić to tak, by czytelnik nic nie zauważył, by miał wrażenie, że tekst powstał od razu w jego języku. Dlatego czuję o wiele większą odpowiedzialność tłumacząc czyjś tekst niż pisząc własny.

Tak więc odpowiedź na pani pytanie jest nie tylko twierdząca – tak, przywiązuję się i zaprzyjaźniam z bohaterami, a potem trudno mi się z nimi rozstać. Ja powiedziałabym nawet więcej: uważam, że jest to warunek *sine qua non* dobrego tłumaczenia.

Jakie problemy napotkała pani podczas pracy nad książką Ewy Stachniak? Czy tym razem była to trudna praca?

KBK: Każde tłumaczenie niesie z sobą innego rodzaju trudności. Gdy w jednej powieści problem stanowią będą bardzo rozbudowane, wielokrotnie złożone zdania, w innej pułapką może się okazać pozorna prostota. Poza tym jest oczywiste, że tłumacz nie może się znać na wszystkim. Będzie, na przykład, znawcą białej broni, teatru czy roślin tropikalnych, a niewiele będzie wiedział o historii Wrocławia, muzyce czy... pozytywkach (tu wyznaję zasadę, że oprócz lektury fachowej, do której należy się odwołać, trzeba też docierać do ludzi z danej branży i pytać, pytać i jeszcze raz pytać).

W przypadku „Koniecznych kłamstw” największa trudność kryła się w... polskości. Dlaczego? Ponieważ historia opowiedziana w tej książce znana jest polskim czytelnikom z ich własnego doświadczenia. Dla wielu z nich będzie to opowieść o nich samych. Przeżyli wypadki marcowe '68, przeszli represje, przesłuchania, relegowanie z uczelni. Pamiętają Sierpień '80 i stan wojenny, kartki na mięso i oddziały zomowców na ulicy. Wielu doświadczyło rozstania z bliskimi, którzy z różnych powodów zmuszeni byli wyemigrować z Polski. Wielu też w wyniku wojennej zawieruchy zmuszonych było zamieszkać na Ziemiach Odzyskanych, by odtąd w codziennym życiu mieć do czynienia z tak zwaną „sprawą polsko-niemiecką” (co ciekawe, Ewa Stachniak urodziła się we Wrocławiu, a ja w Gdańsku, a więc w miastach, które po wojnie, jak to się kiedyś mówiło, powróciły do macierzy).

Wiadomo, że wokół każdej epoki czy wydarzenia historycznego tworzy się otoczka językowa, na którą składają się nie tylko słowa-informacje, ale też swoiste słowa-kłucze, charakterystyczne zwroty, skróty myślowe, idiomy i powiedzonka. Znane wszystkim, zrozumiałe, oczywiste. Powieść Ewy Stachniak obejmuje czas trzech pokoleń. Wspólnie z autorką musiałyśmy ją napisać po polsku w taki sposób, by czytelnicy z każdego pokolenia mogli powiedzieć: tak, tak właśnie było!

Jak przebiegała pani współpraca z autorką?

KBK: Przystępując do pracy nad tłumaczeniem mamy przeważnie do czynienia z sytuacją, w której – paradoksalnie – świat przedstawiony mówi, podczas gdy sam autor milczy. Moim zadaniem jako tłumacza jest domyślić się, czego chce ode mnie pisarz. Tym razem nie musiałam zamykać oczu ani szukać drogi, odwołując się do telepatii. Po raz pierwszy znalazłam się w komfortowej sytuacji: w każdej chwili mogłam zapytać, co autorka chciała powiedzieć pisząc dane zdanie, a następnie, czy to, co ujrzała w moim tłumaczeniu, zgadza się z jej intencją. Można powiedzieć: wymarzone warunki pracy.

A mimo to, choć pewnie trudno w to uwierzyć, w pierwszym odruchu przestraszyłam się! Czego? Tego, że nie będę umiała stać się „głosem” autorki, że nie sprostam jej oczekiwaniom. Nie usłyszę jej! W praktyce ten bezpośredni kontakt (no, może pośredni, bo via internet i telefon) okazał się dodatkowym walorem pracy, fascynującą grą intelektualno-detektywistyczną, fantastycznym doświadczeniem.

Początkowo pracowałam sama, co, jak się domyślam, wystawiło autorkę na niemałą próbę cierpliwości. Ale najpierw musiałam zostać sam na sam z jej książką, „poczuć” ją, niczym się nie sugerując. Dopiero potem byłam gotowa do rozmowy. Mogłam dyskutować, spierać się o słowa, próbować dziesięciu wersji jednego zdania, szukając tej właściwej. Trochę to przypominało zabawę w ciepło-zimno: ja wędrowałam przez labirynt, podczas gdy autorka pisała zza oceanu: krok w lewo, dwa kroki w prawo. A wszystko po to, by w ostatecznym rozrachunku to ona mogła zdobyć absolutną pewność, że przemówiłam jej głosem. Mam nadzieję, że tak się stało, że Ewa Stachniak czytając swoją powieść w moim tłumaczeniu, zapomina o mnie, a słyszy – siebie.

Wywiad ukazał się w „Liście oceanicznym” – dodatku do dziennika „Gazeta” w

Toronto w grudniu 2004 r.

Fragment powieści:

<https://www.cultureave.com/konieczne-klamstwa-fragm/>

Recenzja:

<https://www.cultureave.com/miedzy-wiarnoscia-a-zdrada/>

**Odeszli animatorzy życia
kulturalnego z Toronto - Irena
Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof
Zarzecki.**



Wieczór autorski poświęcony Helenie Modrzejewskiej w Konsulacie Rzeczypospolitej Polskiej w Toronto, grudzień 2009 r. Od prawej: Irena Harasimowicz-Zarzecka, prof. Florian Śmieja, Jacek Gwizdka, Joanna Sokołowska-Gwizdka podpisująca swoją książkę, Margot Kukulska-Rumian.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Irena Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof Zarzecki byli znani w polskim środowisku każdemu, kto interesował się kulturą i literaturą. Bywali na spotkaniach autorskich, koncertach, można było z nimi toczyć niekończące się rozmowy. Cudowni ludzie, twórczy, mający wspaniałą przeszłość. Krzysztof Zarzecki był pierwszą osobą ze środowiska kulturotwórczego Toronto, którą poznałam po przyjeździe na emigrację w 2001 r. Spotkaliśmy się w kawiarni sieci Chapters. Ten znakomity tłumacz był wówczas wiceprezesem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. Ja zostawiłam ciekawą pracę historyka literatury polskiej na Uniwersytecie Łódzkim i szukałam kontaktów z ludźmi, którzy byliby mi bliscy zawodowo. Długo rozmawialiśmy, o tekście mojej książki na temat rodziny Tyszkiewiczów, o pisaniu,

warsztacie twórczym. Dostałam wiele cennych rad. A na koniec otrzymałam propozycję korzystania z dużej biblioteki Państwa Zarzeckich i książek dotyczących literatury w języku polskim. Wtedy było to dla mnie, jak zapowiedź normalnego życia na emigracji. Biblioteka była nieodzownym narzędziem pracy, a przecież nie mogłam przewieźć na raz wszystkich moich książek. – Bibliotekę gromadzi się długo – mówił Krzysztof Zarzecki – my przez lata uzbieraliśmy dużo książek.

Irena Harasimowicz-Zarzycka była uroczą panią, która było widać i słyszeć. Można było z nią godzinami rozmawiać i tematy się nie kończyły. – Musicie do nas wpaść – mówiła ilekroć się spotykaliśmy na imprezach kulturalnych – to dokończymy rozmowę. I ciepło dotykała dłoni, na znak przyjaźni.

Państwo Zarzeccy zdecydowali się na powrót do Polski w 2014 r. Ich odejście to duża strata dla polskiej kultury.

Irena Harasimowicz-Zarzecka



Irena Harasimowicz-Zarzecka, Konstancin 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumaczka, eseistka, redaktor. Zmarła 28 kwietnia 2019 r. Została pochowana na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Córka prawników, wnuczka rzeźbiarza i pedagoga Piotra Harasimowicza (1857-1914), który wraz z bratem Marcelim (1859-1935), malarzem i kustoszem, należał do grona organizatorów szkolnictwa artystycznego, Galerii Narodowej i Związku Artystów Plastyków we Lwowie. Ukończyła studia i uzyskała w 1963 stopień doktora filologii rumuńskiej na uniwersytecie w Bukareszcie, na podstawie rozprawy o prozie rumuńskiej poświęconej tragedii tzw. zagubionego pokolenia intelektualistów uczestników pierwszej wojny światowej.

W 1964 roku przebywała w Londynie u ojca, który jako były oficer wywiadu AK nie

mógł powrócić do Polski i był zatrudniony w Instytucie Sikorskiego oraz w Lozannie, gdzie studiowała w École Benedict. W latach 1965-67 pracowała w Dziale Prasowym, a później była szefem Protokołu Polskiej Akademii Nauk. W latach 1968-87 redaktorka, specjalistka do spraw literatury rumuńskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Tłumaczka języka rumuńskiego na wielu kongresach i konferencjach naukowych, literackich i artystycznych. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Od 1987 roku dzieliła czas między Toronto a Warszawę. Przełożyła na rumuński m. in. wiersze Tadeusza Różewicza (wydane z przedmową Ștefana Augustina Doinașa), Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta. Przełożyła z rumuńskiego m. in. wiersze Marina Sorescu „Punkt widzenia” (PIW 1970); tom aforystycznych powiastek filozoficznych Mateia Călinescu „Życie i opinie Zachariasza Lichtera” (PIW 1972); powieść Dany Dumitriu „Biesiada lichwiarza” (PIW 1975); powieść Mircea Eliadego Majtrei, poprzedzoną esejem o jego twórczości literackiej (Czytelnik 1988); sztuki Dumitru Salomona. Opracowała i opatrzyła wstępem antologię współczesnych opowiadań rumuńskich „Śmierć Ipu” (PIW 1971). Jest autorką Antologii poezji rumuńskiej, w której zaprezentowała we własnym wyborze i w znacznej części we własnych przekładach twórczość 77 poetów okresu lat 1939-80, poprzedzając swój wybór obszernym esejem o poezji rumuńskiej dwudziestego wieku i opatrując go (we współpracy z mężem Krzysztofem Zarzeckim) wyczerpującymi notami o autorach (PIW 1989). O tomie tym pisał Jerzy Lisowski, redaktor naczelny „Twórczości” i autor trzytomowej „Antologii poezji francuskiej”:

To naprawdę znakomita antologia, duża porcja wspaniałej i nowej, innej, zaskakującej poezji.

Zygmunt Kubiak, znakomity eseista i tłumacz, podnosząc „mistrzostwo przekładów” Ireny Harasimowicz oraz jej „rolę głównej ambasadorki kultury polskiej w Rumunii i rumuńskiej w Polsce”, orzekł, że jej

Antologia poezji rumuńskiej to jedna z naszych najważniejszych książek poetyckich.

Obok nagrody Fundacji Turzańskich (1993-1994), Irena Harasimowicz została uhonorowana jeszcze dwukrotnie: w 1990 nagrodą Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich przyznaną jednogłośnie przez jury pod przewodnictwem tegoż Zygmunta Kubiaka, które uznało jej Antologię za najlepszy przekład poetycki roku; oraz w 1999 nagrodą Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt twórczości przekładowej. Autorka esejów m.in. o poezji Wisławy Szymborskiej, tekstu napisanego po przyznaniu jej nagrody Nobla; o obrazach nagradzanej na trzech kontynentach, wspaniałej malarki, do niedawna zamieszkałej w Toronto, Hanny Haski; oraz o poezji i prozie rumuńskiej pisarki i tłumaczki Flavii Cosmy, również mieszkanki Toronto.

Krzysztof Zarzecki, 31.05.2015

Krzysztof Zarzecki



Krzysztof Zarzecki, Obory 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumacz, redaktor, wydawca. Zmarł 17 lipca 2019 r. Został pochowany na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Ur. 31 maja 1926 roku w Warszawie. Żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego w batalionie Baszta na Mokotowie, jeńiec niemieckiego stalagu XB (Sandbostel). Maturę zdał na tajnych kompletach w Warszawie, po wojnie studiował germanistykę na Friedrich Wilhelms Universität w Bonn oraz polonistykę i anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Redaktor w „Czytelniku” (1952-55), kierownik Redakcji Przekładów w „Iskrach” (1955-63), kierownik Redakcji Anglosaskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym (1976-87). W latach 1963-65 stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej, uczestnik Studium Pisarskiego (Writers’ Workshop) Uniwersytetu Stanu Iowa. W latach 1965-76 lektor amerykańskiej

angielszczyzny w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Członek ZLP od 1963 roku do jego rozwiązania, w 1983 r. pełnił w nim m. in. funkcje wiceprzewodniczącego Klubu Tłumaczy oraz sekretarza Sądu Koleżeńskiego Oddziału Warszawskiego. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich (1985-87 przewodniczący Sekcji Tłumaczy Literatury) i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wiceprezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie.

W Toronto od 1987. Przełożył ponad trzydzieści pozycji z literatur anglosaskich, m. in. „Którzy upadają” Samuela Becketta, trylogię „USA” Johna Dos Passosa, „Sługę bożego” i „Ziemie tragiczną” Erskine’a Caldwell, „9 opowiadań” J. D. Salinger (współ z Agnieszką Glinczanką), „Zatrzaśnij ostatnie drzwi”, „Muzykę dla kameleonów” i „Tamtą Gwiazdkę” Trumana Capote, „Noc Iguany” Tennessee Williamsa, „Papierowego człowieka” Dashiella Hammetta, „Człowieka pogrzebanego” i „Lewe pieniądze” Rossa MacDonalda, „To, co najważniejsze” Avery’ego Cormana, „Kronikę rytą w kamieniu” i „Przyjęcie u Larry’ego” Carol Shields, „Miłość” Toni Morrison, „Klarę Callan” i „Cudzołóstwo” Richarda B. Wrighta, wiersze Irvinga Laytona oraz kilkunastu poetów rumuńskich w „Antologii poezji rumuńskiej” Ireny Harasimowicz-Zarzeckiej, sztuki dramaturgów kanadyjskich Carol Shields, Dave’a Carleya i Kristen Thomson. Autor trzech antologii: „26 współczesnych opowiadań amerykańskich” (współ z Maximem Lieberem, 1963, 1973), „32 współczesne opowiadania amerykańskie” (1973) i „Opowiadania z Dzikiego Zachodu” (1974). Jego przekład „Ciężkich pieniędzy”, trzeciego tomu trylogii „USA” Johna Dos Passosa, został nagrodzony przez Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich jako najlepsze tłumaczenie roku 1990. Laureat nagrody Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt dorobku przekładowego (1995) i Fundacji Władysława i Nelli-Turzańskich (1993-1994). Wydawca polskich przekładów kilkudziesięciu tytułów najwybitniejszych pisarzy anglosaskich, od Szekspira i dramaturgów elżbietańskich, poprzez Jane Austen, Josepha Conrada i Jamesa Joyce’a, po Samuela Becketta, Patricka White’a i Josepha Hellera.

Materiał otrzymany dzięki uprzejmości pani Hanny Haski.

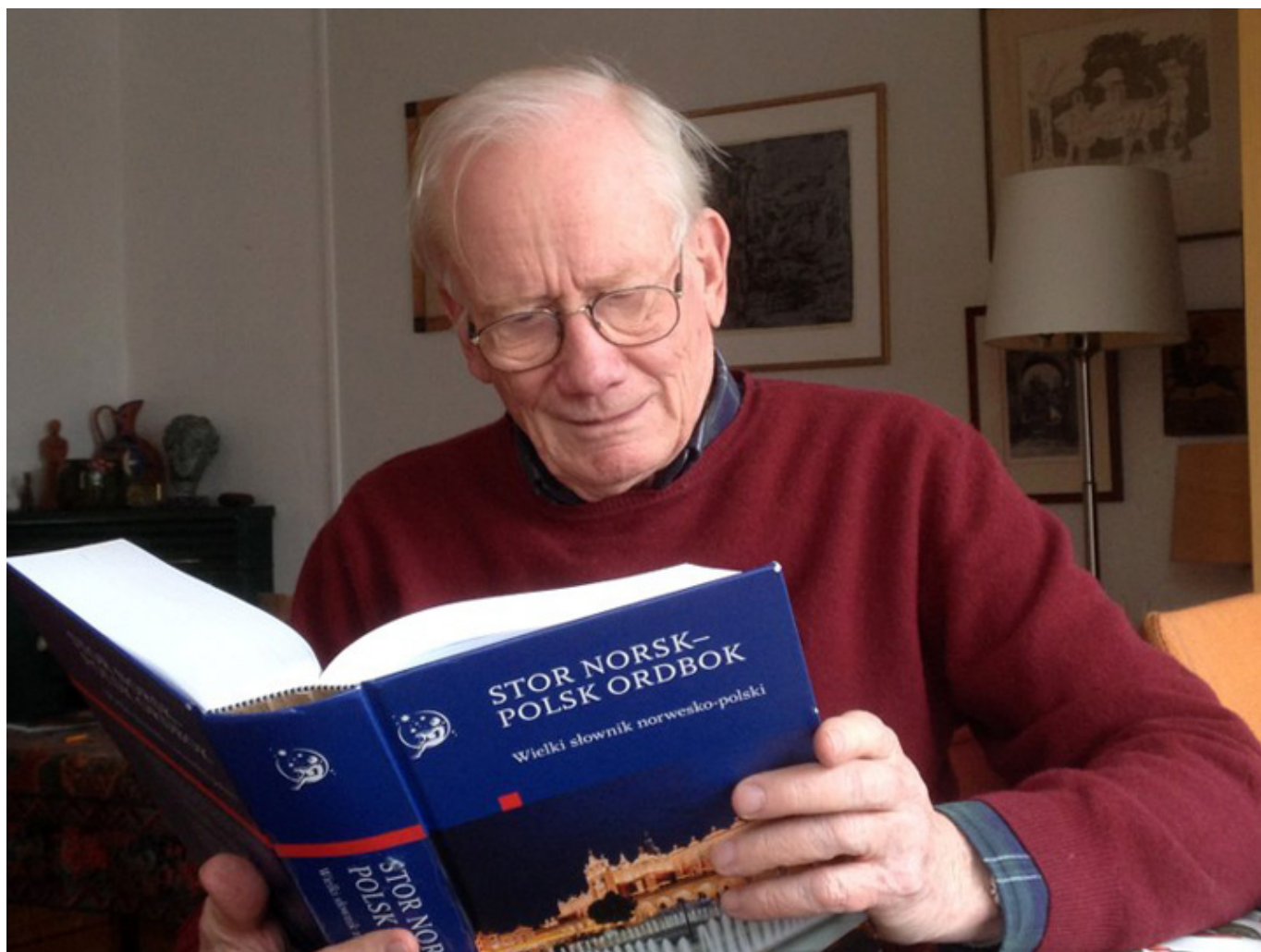
Opowiadanie Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River” w tłumaczeniu Krzysztofa Zarzeckiego:

<https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/>

<https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-2/>

Z miłości do języka

W ubiegłym roku ukazał się „Stor norsk-polsk ordbok” (Wielki słownik norwesko-polski) owoc ponad dwudziestoletniej pracy Ole Michaela Selberga. Jest to największy i najlepiej opracowany słownik, jaki istnieje na rynku. Każdy, kto uczy się języka norweskiego lub pragnie pogłębić swoją wiedzę na ten temat powinien go mieć.



Ole Michael Selberg, fot. Marta Tomczyk-Maryon.

Marta Tomczyk-Maryon

Zanim porozmawiamy o słowniku, chciałabym się dowiedzieć jaka była pana droga do języka polskiego? W jaki sposób rodowity Norweg stał się znakomitym tłumaczem i leksykografem?

Ole Michael Selberg

- Można powiedzieć, że moja droga do języka polskiego wiodła przez... język rosyjski. Gdy byłem w wojsku, poznałem język rosyjski i zostałem tłumaczem wojskowym. Pierwszy kontakt z językiem polskim miałem w roku 1963, kiedy przyjechałem do Warszawy. Była wtedy tzw. zima stulecia. Wprowadziłem się do akademika na Anielewicza w Warszawie i było tam strasznie zimno, ponieważ pociągi z węglem ze Śląska utknęły po drodze.

Był pan Norwegiem marznącym w Polsce, ciekawe.

- Byłem jednak zahartowany, więc nie cierpiałem tak bardzo. Jednak ówczesna Warszawa, szczególnie zimą, wywierała przygnębiające wrażenie: chodziło się tam po mieście, gdzie strasznie wiało, szczególnie przy Pałacu Kultury. Wymagało to trochę przyzwyczajenia. Na Anielewicza mieszkalem w jednym pokoju z Bułgarem, który doktoryzował się z geografii, ale miał trochę „trudny” – jak na tamte czasy – życiorys, bo jego ojciec był popem. W pokoju obok mieszkał natomiast Peter Raina, historyk pochodzenia indyjskiego, który przeniósł się potem do Berlina Zachodniego i wydał szereg książek o polskiej historii, m.in. o kardynale Wyszyńskim. Było to dość ciekawe towarzystwo. Potem wróciłem do Norwegii i wybrałem język polski jako specjalizację. W latach 70. dużo podróżowałem do Polski jako tłumacz. Po raz pierwszy było to w 1967 r. z ówczesnym norweskim ministrem spraw zagranicznych Johnem Lyngiem. W tym czasie polskim ministrem spraw zagranicznych był Rapacki. Potem jeździłem z różnymi ministrami, towarzyszyłem również polskiemu politykowi, którzy tu przyjeżdżali, np. Jaroszewiczowi podczas audiencji u króla w 1977 roku.

Który z ówczesnych polskich polityków był najbardziej przystępny?

- Muszę powiedzieć, że Jaruzelski.

Nie pomyślałabym. Przejdźmy do słownika. Czym Wielki słownik norwesko-polski się wyróżnia? I co jest w nim wyjątkowego?

- Jest to słownik przygotowany w dużej mierze w oparciu o koncepcję Walerego Bierkowa. Był to wybitny leksykograf, który opracował wielki słownik rosyjsko-norweski. Pierwsze wydanie ukazało się w roku 1987 w Związku Sowieckim.

Mój słownik z założenia ma uwzględniać potrzeby obu grup użytkowników, Polaków i Norwegów. I dlatego mówi zarówno o wymowie norweskiej jak i polskiej. Większość Polaków ma trudności w rozróżnieniu tonemów norweskich. A nawet, jeśli je rozróżniają, to często nie używają ich we właściwy sposób. Jednak z drugiej strony można zrozumiale mówić po norwescu bez tej wiedzy i wielu Polaków tak robi. Uważam jednak, że warto o tym informować, choćby z tego względu, aby uświadomić, że dla Norwega jest to różnica. Słownik uwzględnia również kwestię, gdzie przebiega granica w złożeniach między elementami złożenia, ponieważ to odgrywa rolę dla wymowy. Np. to, że *iste* (herbata mrożona) jest złożeniem składającym się z elementów *is* (lód) i *te* (herbata), sprawia, że *e* końcowe wymawia

się tak jak *e* w *te*, podczas gdy w *iste* (czas przeszły od czasownika *ise*) *e* ulega osłabieniu i realizowane jest jako tak zwane szwa, czyli niewyraźne *e*. Dla Norwega różnica jest wyraźna. Inna kwestia to iloczyn samogłosek. W *ledning* (przewód) *e* jest długie, a w *redning* (ratowanie, ratunek) jest krótkie i należy tej różnicy przestrzegać.

Mogę powiedzieć, że nie ma innego słownika polsko-norweskiego, który tak szczegółowo informuje o norweskiej wymowie.

Jeśli chodzi o gramatykę, to staram się obszernie informować o różnych odmianach stylistycznych. Zadbalem też o to, aby łatwo było znaleźć, to, co po angielsku nazywa się *phrasal verbs*. Oczywiście jest duże podobieństwo między językami skandynawskimi a angielskim. Na przykład przy czasowniku *slå* jest bardzo dużo czasowników frazowych. Staralem się też informować, jak należy oddać pewne norweskie konstrukcje. Na przykład, gdy mamy *tytuł powieści* lub *prezes towarzystwa* po polsku, to jak oddać te dopełniacze? Można powiedzieć *romanens tittel* i *foreningens formann*, ale można powiedzieć też *tittelen på romanen* i *formannen i foreningen*. To ostatnie jest obecnie bardziej popularne i częściej używane, mimo że takie zastępowanie dopełniacza różnymi przyimkami raczej komplikuje język.

A co sprawia lub może sprawiać największe trudności Norwegom uczącym się języka polskiego?

- Język polski i norweski są pod wieloma względami różne. Z jednej strony język polski ma bardzo skomplikowaną morfologię, obfitującą w różne wyjątki i nieprawidłowe formy, które sprawiają oczywiście problemy norweskim studentom języka polskiego, ale z drugiej strony, kiedy prowadziłem na uniwersytecie kurs języka polskiego, to pocieszałem początkujących tym, że pod jednym względem język polski jest szalenie prosty, mianowicie pod względem wymowy. Co może zdziwić wielu ludzi, ponieważ, gdy przygląda się polskiemu językowi w postaci drukowanej wygląda on dość skomplikowanie, te wszystkie *sz*, *cz*, *rż*, *ż*..., głoski szeleszczące itd. Ale jeżeli student potrafi opanować reguły polskiej wymowy, to zawsze można wywnioskować jak się dane słowo wymawia. Są bardzo nieliczne odstępstwa, takie jak *marznąć*, *piętnaście*. Język polski ma idealnie prostą prozodię, bo akcent prawie

zawsze spoczywa na przedostatniej sylabie. Nie ma również różnicy między głoskami długimi i krótkimi, nie ma również tonemów. I dlatego w moim słowniku w niewielkim stopniu muszę informować o polskiej wymowie.

Każdy język się rozwija: zmieniają się normy językowe, formy gramatyczne, pojawiają się nowe słowa, inne wychodzą z użycia. Zmiany języka to dylemat, przed którym staje każdy twórca słownika. Czy pański słownik uwzględnia ten nowy obraz języka?

- Pracowałem nad tym słownikiem ponad dwadzieścia lat, ale w porównaniu z czasem tworzenia innych dużych słowników jest to niewiele. Na przykład Akademia Szwedzka wydaje słownik, który jeszcze nie doszedł do ostatniej litery, nad którym pracuje już ponad sto lat. I wtedy te problemy stają się odczuwalne. Jeśli chodzi o mój słownik, to pomagał mi Gunnar Arneson, który dołączył w roku 2008; wspólnie opracowaliśmy kilka liter. Starałem się uwzględnić zmiany języka. Na przykład czytając prasę polską i norweską często robiłem notatki z myślą właśnie o słowniku. Przygotowałem nawet nowe wydanie, które mam nadzieję będzie miało okazję się ukazać. Jest tam prawie 400 nowych haseł.

Czy łatwo dokonać zmian w tak dużym słowniku? Czy wymaga to dużych nakładów technicznych?

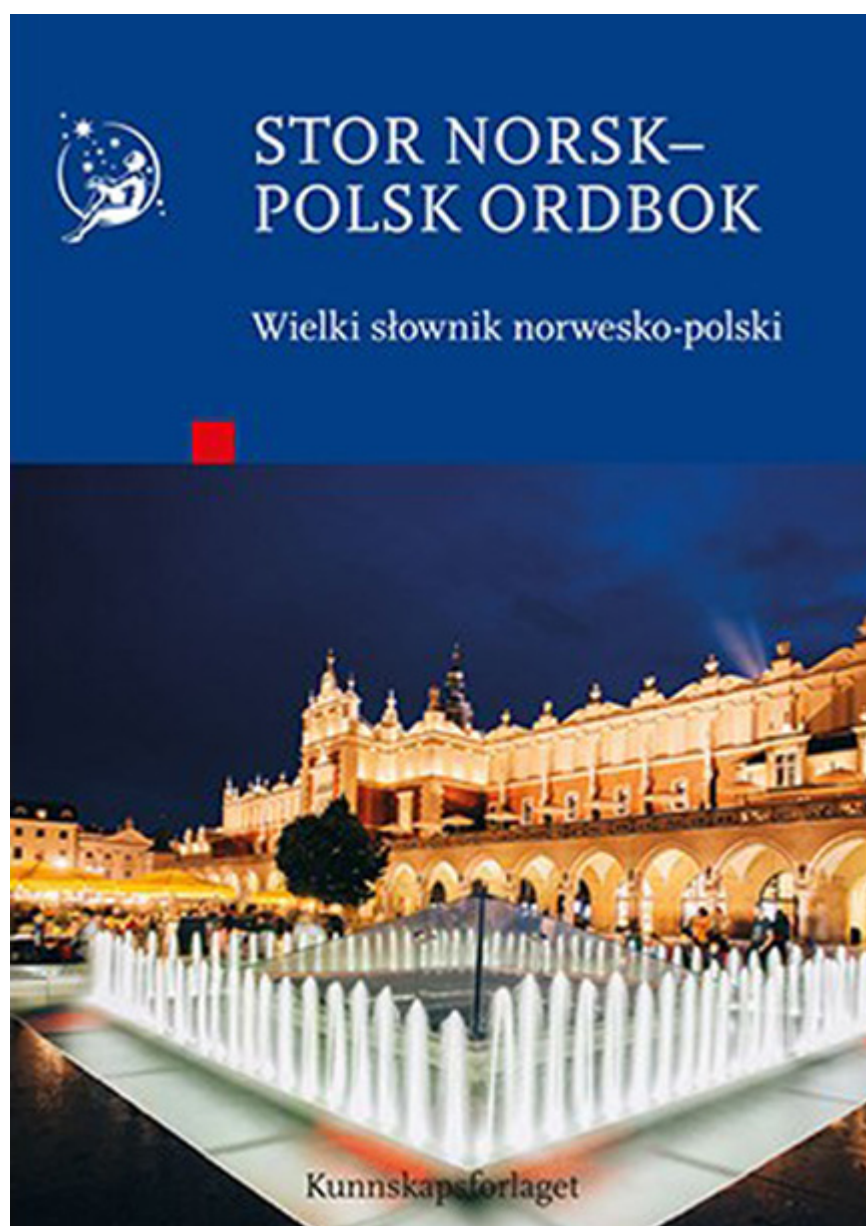
- Dokonanie zmian jest rzeczą łatwą i prostą, ponieważ słownik powstał w programie TeX. Łatwo wprowadzać w nim zmiany, dodać nowe hasła, edytować go, można również słownik wydrukować w wielu wersjach, nie zmieniając niczego w podstawowych plikach. Na przykład, gdybym chciał mógłbym wypuścić wersję dla Polaków, w której byłoby mniej lub żadnych informacji o polskiej odmianie. Tak samo można wydać również wersję dla Norwegów, w której pomija się wszystkie informacje o wymowie norweskiej.

Pański słownik obejmuje bokmål. Jednak jak wiadomo w Norwegii funkcjonują również inne odmiany języka nynorsk, riksmål i dialekty. Czy słownik uwzględnia w jakimś stopniu te odmiany języka?

- Uwzględnia do pewnego stopnia, ale nie w pełni, bo byłoby to niemożliwe. Istnieją słowniki, w których próbowano to uwzględnić, ale moim zdaniem były one nieudane,

np. jak pierwszy słownik norwesko-angielski. Jakkolwiek nie uwzględniam tego, to wprowadzam trochę haseł gwarowych, które są uwzględnione w większym stopniu niż w innych współczesnych słownikach. Ale są to słowa i formy dosyć rozpowszechnione, które pojawiają się w języku pisanym. Sytuacja językowa tutaj jest o wiele mniej wyklarowana niż sytuacja w Polsce, co stwarza trudności dla leksykografa, opracowującego słownik.

W Polsce właściwie nie ulega wątpliwości jaka jest norma. Choć oczywiście istnieją formy oboczne i można dyskutować czy mówić *Norwedzy* czy *Norwegowie*.



Mówiliśmy o różnicach, a co jest wspólne dla obu języków?

- Wpływ języka angielskiego. Zapożyczenia angielskie mają łatwiejszy dostęp do norweskiego, ponieważ języki te są podobne. Umożliwia to upodobnianie angielskich wyrażen do norweskich. Podczas, gdy w języku polskim jest to trudniejsze. W słowniku oczywiście trzeba uwzględniać nowe słowa, również angielskie, nawet, jeśli nie zawsze są to słowa, które leksykograf chciałby umieścić w słowniku. Ale język jest taki, jaki jest. Uwzględniłem również słowa z dziedziny technologii komputerowej, bo też jest to coś, co należy do nowoczesności.

W mojej pracy często poszukuję znaczenia słów z dziedziny religii i Kościoła. I przyznam, że w słownikach, z których korzystałam do tej pory brakuje takich pojęć. Czy w Pana słowniku je znajdę?

- Tak, są tu pojęcia związane z Kościołem katolickim. Przykładem może być słowo *ferming*, czyli bierzmowanie. Słowo to nie jest używane w Kościele protestanckim. Pojawia się również ciekawe słowo *retrett*, które w Kościele katolickim oznacza rekolekcje. Natomiast protestanci używają w tym samym znaczeniu słowa angielskiego *retreat*.

Myślę, że nie ma drugiego takiego słownika norwesko-polskiego, który by się tak szczegółowo rozwodził nad znaczeniem tego rodzaju słów.

Jest Pan też znakomitym tłumaczem, tłumaczył pan wiersze polskich poetów, Szymborskiej, Herberta i Różewicza. A także *Dolinę Issy* Miłosza. Ciekawi mnie, którego z polskich poetów lubi i ceni pan najbardziej?

- Tłumaczenie wszystkich tych trzech poetów sprawiało mi przyjemność, zwłaszcza Herberta. Wyzwaniem była dla mnie *Dolina Issy*, właśnie ze względu na swoją specyfikę. Jeśli nie mielibyśmy się ograniczać do pisarzy polskojęzycznych, to muszę powiedzieć, że cenię austriackiego pisarza Roberta Musila, tłumaczyłem jego *Człowieka bez właściwości*. To bardzo inteligentny autor i przepracowany tekst, bo swoje rzeczy przepisywał dziewięć, dziesięć razy. Ale pani pytanie jest trudne, bo to jest trochę tak, jakby pani chciała zapytać ojca lub matkę, które dziecko kochasz najbardziej.

Rzeczywiście, powinienam zadać inne pytanie: czy jest jakiś autor, którego chciałby pan przetłumaczyć?

- Trudno mi powiedzieć, bo przez ostatnie lata tkwiłem w leksykografii i w ograniczony sposób śledziłem, to, co się dzieje w literaturze polskiej. Ale pojawiają się nowi tłumacze i bardzo mnie to cieszy, że polska literatura jest nadal tłumaczona i istnieje zainteresowanie polską literaturą.

Ole Michael Selberg (ur. 1938) – norweski tłumacz i leksykograf. Przetłumaczył na język norweski między innymi poezję Herberta, Szymborskiej i Różewicza oraz *Dolinę Issy* Miłosza. I 1983 otrzymał *Bastianprisen* (nagrodę Stowarzyszenia Norweskich Tłumaczy) za tłumaczenie sztuki Tadeusza Różewicza *Białe małżeństwo*.

TeX – komputerowy system profesjonalnego składu drukarskiego, obejmuje on zarówno specjalny język jak i kompilator przygotowujący pliki w formatach wymaganych przez urządzenia graficzne. Program jest używany do składania tekstów naukowych. Jego twórcą jest amerykański matematyk i informatyk Donald E. Knuth.

Wywiad pochodzi ze strony:

<http://www.katolsk.no/>

<http://www.katolsk.no/nyheter/2018/03/z-milosci-do-jezyka-wywiad-z-ole-michaelem-selbergiem>

Tłumacz wytrawny - Karl Dedecius

Florian Śmieja



*Dla Pana Śmieji
Karl Dedecius*

Karl Dedecius, fotografia z dedykacją dla
Floriana Śmieji, arch. FŚ.

Nazwisko pochodzącego z Łodzi Karla Dedeciusa, wybitnego niemieckiego tłumacza literatury polskiej, wymienia się dziś w Polsce w gronie największych naszych przyjaciół i ambasadorów na Zachodzie. Nic więc dziwnego, że posypały się na niego nagrody, wysokie odznaczenia i honory. W czerwcu 2002 roku odebrał kolejny doktorat honoris causa w Polsce, tym razem we Wrocławiu.

Ale początki jego chwałebnej drogi nie były ani proste, ani łatwe.

Było to w marcu 1958 roku, kiedy wśród listów do redagowanego wówczas przeze mnie *Mekuriusza Polskiego* znalazło się pismo z Niemieckiej Republiki Federalnej, w którym nie znany mi korespondent donosił o planowanej przez siebie antologii współczesnej poezji polskiej. Prosił o udostępnienie mu tekstów i danych biograficznych młodych polskich poetów mieszkających na Zachodzie. Pukał do różnych drzwi, ale trudno mu było zdobyć potrzebne materiały. Informował równocześnie o pośpiechu, gdyż miał napięty harmonogram wydania.

Postanowiłem na apel odpowiedzieć i bezzwłocznie wziąć się do rzeczy.

Nie zdołałem nakłonić do współpracy z niemieckim entuzjastą mieszkającego wówczas w Londynie miłośnika poezji, Józefa Jaksinskiego. Miał on pokaźną bibliotekę nowości poetyckich. Choć go nie przekonałem, postawił do mojej dyspozycji swoje zbiory, a ja skwapliwie z nich skorzystałem. Wybrałem stos tomów, bodaj 29 i wysłałem trzy paczki do Niemiec. Jaksinśki miał zastrzeżenia m.in. do pośpiechu całego przedsięwzięcia obawiając się, że owoc nie będzie najlepszy. Do wybranych tomów dodałem listę autorów z danymi bio-bibliograficznymi i wysłałem do Heilbronn Karlowi Dedeciusowi, bo tak się nazywał autor listu. Wymieniliśmy szereg listów i pocztówek dla uściślenia niektórych danych biograficznych. Nie upłynął rok, kiedy wyszła antologia *Lektion der Stille*. Była to pierwsza jaskółka, ale jak się miało wnet okazać, stanowiła ona nie tylko o wiośnie, ale o bogatym lecie nad spodziewanie urodzajnym w piękne przekłady i liczne edycje.

Te wiersze 36 poetów z Polski i z emigracji ukazały się w prestiżowym wydawnictwie Carl Hanser Verlag w Monachium przy hucznym aplauzie krytyków niemieckich. Tłumacz przysłał mi plik kilkudziesięciu (z czasem było ich dwieście) recenzji pisanych przez wybitnych pisarzy i krytyków wśród których znaleźli się Heinz Piontek, Marcel Reich-Ranicki i Karl Krolow. Podkreślali oni niezwykłość publikacji, talent tłumacza, biegłą orientację w przedmiocie, różnorodność i dobrą klasę polskich autorów. Tak zaczęła się niezwykła kariera człowieka, tytana pracy i miłośnika poezji, prelegenta i twórcy, a potem wieloletniego dyrektora Deutsches Polen Institut w Darmstadt, laureata wielu nagród, doktora honoris causa szeregu uniwersytetów, wielkiego ambasadora polskiej literatury w Niemczech.

Od samego początku kariery tłumacza, toczącej się przez wiele lat na marginesie

pracy zarobkowej, Dedecius wierzył w szanse poezji polskiej na rynku niemieckim.

Pisemne krytyki pokazują – pisał – że na ogół technika i jakość poezji polskiej zaskoczyły wszystkich. Podkreśla się niezłomną wolę twórczą, nowoczesność sformułowań, głębię wstrząsających przeżyć. Nie brakuje głosów, które tę nową lirykę polską przyrównują do najlepszej młodej liryki niemieckiej, a niektórzy twierdzą, że jest od niej lepsza...

Niemniej urodziny tej antologii były zgoła dramatyczne. Kompilowanie tekstów wierszy i zdobywanie wiadomości biograficznych w latach pięćdziesiątych nastroczało wiele trudności, dziś zupełnie niezrozumiałych i absurdalnych. Adresaci próśb często nie odpowiadali na nie, źródła były mało dostępne, więc w efekcie przypadkowe. I tak w pewnym momencie, kiedy Dedecius chciał drukować w jakimś niemieckim czasopiśmie wybór młodych polskich poetów emigracyjnych, miał do dyspozycji jedynie kilka numerów krakowskiego czasopisma *Zebra* i teksty wierszy w tych numerach pomieszczone (m.in. Zygmunta Ławrynowicza). Posiadając tylko bardzo skromną biblioteczkę polskich poetów, musiał prosić o przepisywanie mu na maszynie dostępnych innym tekstów (były to czasy przed kserograficzne).

Otrzymawszy moje trzy paczki z Londynu, Dedecius pokwitował ich odbiór z entuzjazmem mówiąc m.in.

...Gdyby Pan nie był mi przysłał książek tak szybko, wówczas nie dotrzymałbym terminu majowego a wtedy antologia nie ukazała by się na jesieni, ale dopiero na wiosnę.

Zawiadamiał przy tym, że mimo tak krótkiego terminu, pracował nad przekładami starannie i dokładnie zapewniając, że żadnego autora nie skrzywdził.

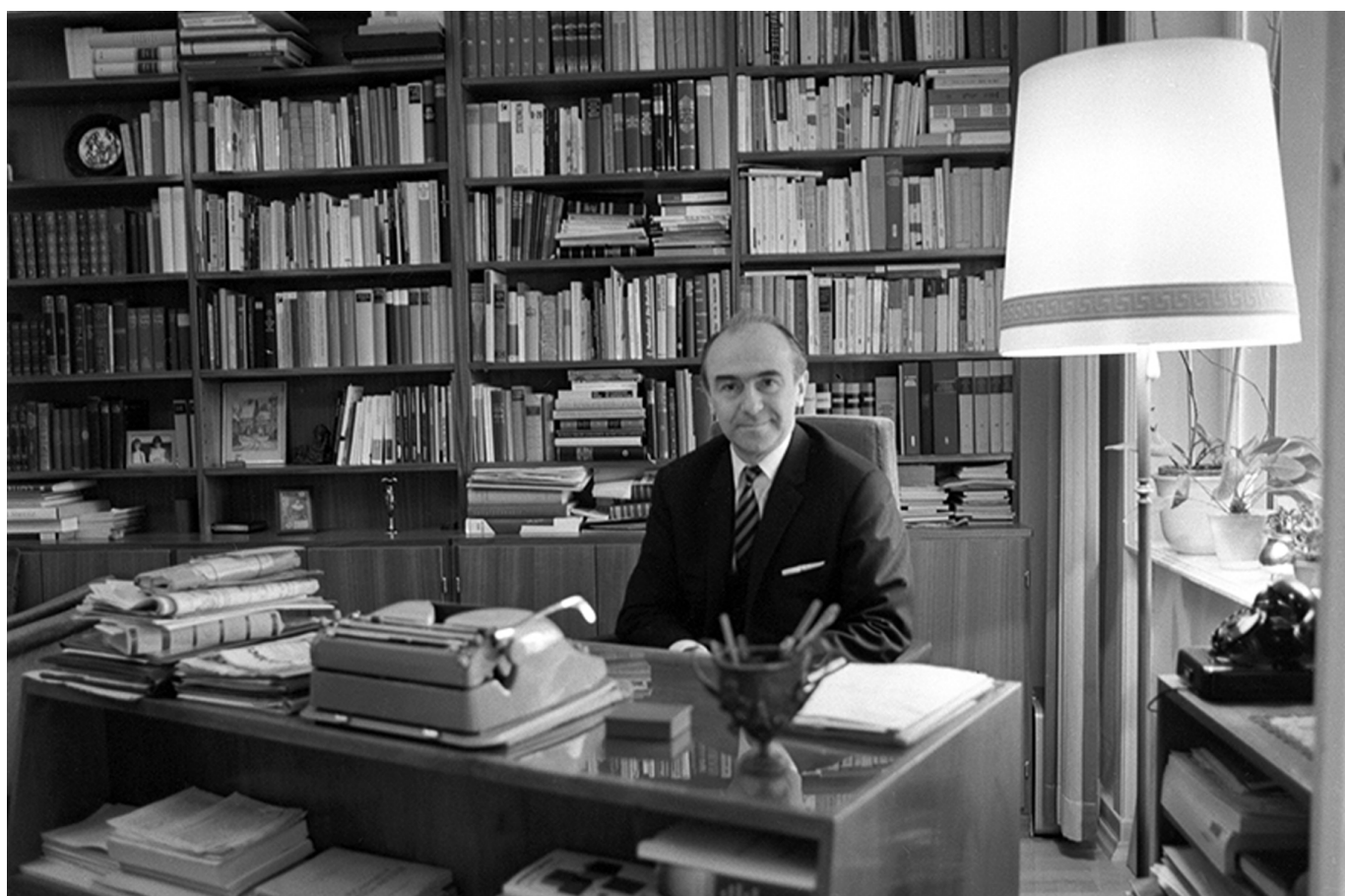
Potem jednak, nie mogąc doczekać się z Polski obiecywanych danych biograficznych, chciał sam pojechać do Warszawy, miał nawet jakieś zaproszenie, więc zaczął ubiegać się o wizę. Nawiązał kontakt z attaché kulturalnym Raczkowskim, ale mimo nieustanych zapewnień, wizy nie otrzymał, zwodzony do końca.

W liście z 2.7.1958 roku skarżył się zdeglustowany:

Na księżyc łatwiej pojechać, niż do tej smutnej Warszawy. Ponieważ troszkę honoru też posiadam, powiedziałem... dość tego, rezygnuję... Czasem aż mi przykro i żal, że wziąłem na siebie tę syzyfową pracę, która mi cały swobodny czas zabiera, dużo zdrowia i pieniędzy kosztuje...

Parę miesięcy później donosił, że

Antologia długo już gotowa. Pedantyczne wydawnictwo czeka tylko jeszcze na te brakujące noty biograficzne z kraju.



Karl Dedecius, fot. culture.pl

Pisząc na lewo i prawo Dedecius uparcie bojował o swoją antologię. W drukarni nikt nie znał języka polskiego, rękopis wędrował tuzin razy między Monachium a Heilbronn, gdzie mieszkał, niemniej kilka błędów literowych zostało, ku zgryzocie dokładnego tłumacza. Prowadziłem z nim dialog w sprawie niektórych jego wersji niemieckich. Wyjaśniał mi swoją postawę, obiecał wyłuszczyć ją szczegółowiej w

wywiadzie dla naszego pisma pod warunkiem, że przyślę serię pytań, na które obiecał odpowiedzieć. Tymczasem dzielił się swoimi obserwacjami:

Kiedy ukazała się moja „Lektion der Stille”, pierwsza niemiecka antologia najmłodszej polskiej liryki (także pierwsza w obcym języku w ogóle), która kosztowała mnie wiele czasu i trudu i troski, gdyż trzeba było karczować puszcze, a niełatwo było dostać, przeglądać i rozszyfrować ogromu polskich wydawnictw, napisał pewien krytyk, że wybór jest „skromny w porównaniu z obfitością wydanych w Polsce nowości”. Jaki mędrzec! Odkąd to mierzy się lirykę na metry, odkąd waży się wiersze jak kartofle na worki? Myślałem, że poezja to dalekoidące zagęszczenie, koncentracja, wybór...

A przecież jedną z oczywistych przeszkód w wydaniu książki były ograniczenia nakładane przez wydawcę mało pokupnych, ryzykownych tekstów. Tłumacz w liście skarżył się na stojącego do jego dyspozycji skąpość miejsca, że miał gotowe przekłady, które do antologii nie weszły. Pominięci poeci też się upominali. Ktoś napisał mu złośliwy list.

Nie chce nigdy więcej „niczego” ode mnie słyszeć. Ponieważ nie wkluczyłem jego wierszy. Co za zarozumiałość! Takie są smutne radości sumiennego antologa,

komentował Dedecius.

Lecz docierały również pierwsze dobre echa z Polski. W liście z radością zacytował mi wypowiedź prof. Kazimierza Wyki:

Muszę powiedzieć, bez próżnych komplementów, że trudności, jakie Pan odczuwa i o jakich rozwiązanie prosi, dowodzą znakomitego zrozumienia poezji i ponadto trudności i wieloznaczności języka polskiego, wieloznaczności zarówno semantycznych jak obrazowych... Przekłady, o ile mogę polegać na swojej znajomości języka niemieckiego, czysto biernej i czysto szkolnej, wydają mi się bardzo piękne, udane, a przede wszystkim wierne...

Chwalił go także profesor Konrad Górski. Ponieważ jego tekst jest w języku

niemieckim, przytoczę własny przekład jego wypowiedzi:

Czytając niemiecki tekst, słyszę dobrze melodię i rytm oryginałów. To wielkie osiągnięcie. Czy to nowy przekład, czy stary? Kto to jest Karl Dedecius? Jeżeli jest to nasz współczesny, to proszę wyrazić mu moje najwyższe uznanie.

W naszej korespondencji powtarzało się zaproszenie do Niemiec, ale moje drogi tamtędy nie wiodły. Zanim do osobistego spotkania doszło, Dedecius przeprowadził się służbowo do Frankfurtu. Tam go kilka lat później odwiedziłem z rodziną, kiedy wracaliśmy z Polski samochodem. Odszukaliśmy jego biuro towarzystwa ubezpieczeniowego, dla którego wówczas pracował, przekładając w wolnym czasie polską literaturę.

Pojechaliśmy razem do lokalnej restauracji na wolnym powietrzu na pieczone kurczaki i długo obiecywaną sobie rozmowę. Obiad się przeciągnął, tak że musiałem zrezygnować z odwiedzenia przejazdem Mariana Pankowskiego w Brukseli, bo do stolicy Belgii dotarliśmy dopiero późną nocą, i zdecydowali kontynuować jazdę do Ostendy na prom do Anglii.

W liście z 12.4.1960 Dedecius zawiadamiał:

...Zaraz po Wielkanocy ukaże się tutaj dość ładna książka, bardzo dowcipnie ilustrowana: „Myśli nieuczesane” Leca w moim przekładzie.

Był to jego największy sukces wydawniczy. Pod tytułem „Unfrisierte Gedanken” utrafiły one w smak niemieckiego czytelnika. Tłumacz zapytany potem w Polsce o wysokość nakładu, powiedział „pięćdziesiąt tysięcy”, co z niewiary czy złośliwości dziennikarza zapisano jako „piętnaście tysięcy”. Dziś nakład tych aforyzmów przekroczył pół miliona.

Kiedy sam nieco później robiłem własny wybór tych aforyzmów i przekładałem na język hiszpański, by je wydać w Meksyku, napisałem o tym Dedeciusowi. Ubawiło go to.

Uśmiechnąłem się, mimo woli, czytając Pańskie uwagi o „Nieuczesanych” . Chyba

pod sugestią Leca pisał Pan o tej maleńkiej książeczce, albowiem Lec wciąż się na mnie dąsa, że zrobiłem tak szczupły wybór, zamiast wydać grubą książkę z wszystkimi myślami. To już w charakterze każdego ojca życzenie zebrać wszystkie swoje dzieci pod jednym dachem. Ale to nie zawsze możliwe. Po pierwsze, nie każda gra słów wychodzi w obcym języku (a przecież wiele aforyzmów Leca na tej podstawie słownej zbudowane), a po drugie, nie każda myśl, nowa i celna nad Wisłą, jest także samo nowa i celna gdzie indziej. ...Boję się, że Lec nie miałby połowy swojego dzisiejszego sukcesu u nas, gdybym bez selekcji wziął wszystko, co on napisał. Pomijając to, że niektóre myśli, przetłumaczone na niemiecki, powtarzają nieśmiertelne mądrości wypowiedziane przed laty przez Salomona, Heinego, Goethego, Lichtenberga, Ebner-Eschenbacha, Krausa i innych aforystów. Perły ceni się tylko dlatego, ponieważ sprzedaje się je pojedynczo. Gdyby targowali nimi na rynku całymi workami – nikt by na to nie zwracał uwagi.



Karl Dedecius

W drugim liście podał mi adresy rodziny Leca oraz bogatą bibliografię lektury pomocniczej.

Miałem go następnym razem zobaczyć dopiero po latach w Warszawie. Bo tymczasem urosła jego sława i rozeszła się szeroko, a kiedy został dyrektorem Deutsches Polen Institut w Darmstadt i zaczął zapraszać pisarzy i poetów z Polski, stał się persona bardzo grata.

Na Saskiej Kępie u ambasadora Niemiec wraz ze spotkaną po drodze Ewą Lipską zastałem doborową drużynę ludzi pióra i kultury (wydawcy, pedagodzy, aktorzy) już tworzący dwa obozy, powiedzmy lojalistów i kontestatorów, która się zjechała z całej Polski, by uczcić 70 lecie pracy translatorskiej Dedeciusa. On, wysłuchawszy laudacji i koncertu fortepianowego, z przysłowiową niemiecką przezornością wręczył każdemu z obecnych gotową na tę okazję książkę pamiątkową.

Jan Darowski pisząc o "Lektion der Stille" w "Kontynentach" w 1962 roku martwił się o przyszłość fenomenu, którego nazwisko brzmiało Dedecius. Głosił on jasno i wyraźnie:

W Dedeciusu poezja polska znalazła tłumacza na miarę Boya...Nie wiem, jak mu tam ojczyzna nasza pomaga, bo ona woli brać niż dawać, ale szkodą nie do naprawienia byłoby zaprzepaszczenie lub zmarnowanie jego dobrej woli w ten czy inny sposób...

Dziś, po tylu latach, zbawieni obaw o losy Dedeciusa, możemy spokojnie pogratulować sobie, że postawiliśmy na sukces.

Na mój wielki dzień 5 maja 2015 roku napisał list: *(wręczenie doctoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego i przyjęcie orderu przyznanego przez króla Hiszpanii Filipa VI za działalność translatorską, przyp. red.).*

Kochany Panie Florianie,

nasza wspólna Alma Mater, Uniwersytet Wrocławski, postanowił Pana odznaczyć. Gratuluję Panu z całego serca tego wyróżnienia, które nas powtórnie do siebie zbliża, jak Pan widzi krąg naszych przyjaciół jest ciągle ten sam, miejsca do których podróżujemy te same. Cieszę się, że Uniwersytet Wrocławski postanowił Pana uhonorować w tak szczególny sposób. Przez moment miałem nadzieję, że uda nam się spotkać, ale jak sygnalizuje mi moja najbliższa współpracowniczka, pani

Ilona, Pana podróż wiedzie przez Warszawę, a nie przez Frankfurt. Szkoda. Chętnie bym odświeżył naszą przyjaźń, zaprosił Pana (wraz z Córką) na odpowiednią kolację połączoną z „nocną rodaków rozmową”...

Karl Dedecius zmarł w 2016 roku.

Na jego koncie Niemcy zapisali odkrycie i przyjęcie polskiej literatury.